Dzień poprzedni w całości upłynął nam na podróży w ciasnym, rozklekotanym autobusie. W końcu po 11 godzinnej podróży z trudem podnieśliśmy zdrętwiałe pupy i zawlekliśmy je razem z plecakami do naszego lokum. Następnego dnia z samego rana wyruszyliśmy na zwiedzanie tego niezwykłego miasta. To niesamowite, że każde miejsce tutaj jest tak unikalne i wyjątkowe, niepowtarzalne. Po zobaczeniu edyktów króla Aśoki zwiedziliśmy starożytny fort pachnący kadzidłami i wilgotnym mchem. Atmosfera unosząca się w powietrzu była mistyczna i podniosła. Z fortu wsiedliśmy do autobusu, który zabrał nas na mini safari. Drugą część dnia spędziliśmy już w Porbandarze, który zaskoczył nas szalejącym monsunem. Przemoczeni do suchej nitki udaliśmy się tam, gdzie każdy z ludzi na świecie powinien pojechać, czyli do miejsca urodzenia Mahatmy Gandhiego. Z nieba lały się strumienie wody podczas gdy my dyskutowaliśmy o życiu tego wielkiego człowieka. Ulice Porbandaru szybko zmieniły się w rwące rzeki. Oczywiście woda po kolana nie utrudnia tutaj ruchu ulicznego. Krowy chowają się na dworcu lub pod altankami sklepików, riksze ze zwykłą sprawnością wymijają przechodniów, a bose dzieci bawią się w kałużach. Widząc taki obrazek uśmiechamy się do siebie nawzajem, wciąż nie umiejąc nadziwić się tak wielu rzeczom, które tutaj widzimy. Czy wspominałam już, że od jakiegoś czasu naszym ulubionym tematem jest jedzenie, jedzenie i jedzenie. Wielu z nas tęsknie wspomina schabowego czy roladę od babci, nachodzi nas ochota na ciepły rosół, a zwykła szklanka kompotu wydaje się nieosiągalnym i pięknym wspomnieniem. Jednak nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, a pyszny daal, kurczak masala i lassi do popicia rekompensują wszystko. Takie smaki uszczęśliwiają nas bardzo na kilka godzin, no a biegunką przecież będziemy martwić się później. Jutro wyjeżdżamy z Junagadhu i udajemy się w miejsce, na które wszyscy bardzo czekamy, czyli Diu. Mamy nadzieję wypocząć tam trochę i zrelaksować się na przepięknych plażach, oczywiście jeśli monsun będzie na tyle łaskawy. Namaste!

Tego dnia wilgoć była wszędzie. W tym miejscu wilgoć była zawsze. Fort w Junagadh jest utopiony w zieleni. Zamszowy, ciemny, intensywny, ze słońcem w kroplach wody. Po murach spływają rośliny. Wejście przez wielką rzeźbioną bramę, obok kapłan skrapia posąg boga – słonia w skradzionej murom świątyńce. W cieniu bramy najpiękniejszy zapach kadzideł, jaki tu dotychczas poczułam. Ta chwila przejścia, ten moment magiczny to spełnienie wyobrażenia Indii, z jakim przyjechałam; tego indyjskiego snu, w który rzadko dane jest tu odpływać w rozpadających się metropoliach i klaustrofobicznych klitkach hotelów. Pomyślałam, że prawdziwe piękno i wolność czuję tutaj z daleka od „wysokiej cywilizacji", płodu globalizacji, tego „szybko – tanio", które zupełnie nie pasuje do charakteru Indii i ich mieszkańców, za którym tutejsi ludzie nie nadążają zupełnie. Chaos.

Piątkowy meczet. Rzędy kolumn kładą na sobie wzajemnie światła i cienie, prowadzą przez wnętrze, które dzieli się przestrzenią od wieków, jakby z tym samym zielonym zewnętrzem, które oddycha przez dziury w wiekowych murach. W odległości kilkunastu metrów widać maleńki kwadratowy pawilonik, zadaszony, na rzeźbionych kolumienkach, idealny w swoich proporcjach i pulsujący tkanką roślinną. Paw, który wewnątrz przysiadł, to musi być już element fikcji literackiej. Za dużo tutaj starej zapomnianej magii jak dla reportażu.

Buddyjskie podziemne świątynie z rozmysłem wpuszczają światło. Żłobienia dłuta w ścianach pokryte mchem. Czuć przedwieczną samotność i kontemplację.

Do studni przewodzą kaskady schodów. Stopnie uwięzione między litymi pionami skał. A głęboko dalej, wiele kroków dalej, płytkie z pozoru zwierciadło, które kryje głębię. I śmieci.

Mądrości cesarza Aśoki wyryte w masach kamienia. Prawa kobiet, zwierząt, tolerancja, szacunek na jednym zwalistym głazie przez 2ooo lat czekały na premierę we współczesnym świecie.

Do Junagadhu przynieśliśmy deszcz. To inauguracja pory deszczowej w tym mieście i na tej wyprawie. Wszelkie zawartości i wspaniałości indyjskiej ulicy między moimi kostkami, kiedy suniemy w mętnych odmętach ulicy szerokiej jak rzeka.

Porbandar Diu

Dzień w autobusie. Te dni są takie podobne. Różnią się tylko tym, co mijamy za oknem. Kiedy mijamy pole z rzędami maleńkich sadzonek palm za niskim kamiennym murkiem, a potem mijamy pole z większymi, za identycznym kamiennym murkiem, czuję się jakbyśmy podróżowali pod tym burym niebem przez pory roku, jakbyśmy jechali bardzo długo, albo nawet poza czasem. Widzę znaki drogowe. Dość niecodzienne. Szary filtr na rzeczywistości. Leje. Dobrze, że spływa po szybach, nie po nas. Ale wszystko w swoim czasie, jak mniemam.

Welcome to Diu.